

# Zwyczajny faszyzm – 1

7 maja 2020

Zdarzył się w 1956 r. nietypowy protest pracowników PGR Drzenin k. Gryfic: ruszyli oni na komendę powiatową MO chcąc odbić z aresztu swojego kierownika. Przyczyną buntu było zachowanie lokalnego kacyka, przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej, Stanisława Mikuły. Tenże Mikuła znany był w PGR jako były: najpierw kierownik, potem personalny, a w końcu zaopatrzeniowiec. Ta degradacja wiązała się z alkoholizmem Mikuły, zdaniem pracowników: pił, bił i nie szanował robotników. Opowiadano także, że pieniądze na alkohol zdobywał wykopując z grobów trupy niemieckie i rabując im złote zęby. To picie, bicie i zachowanie zawstydzające nawet poganiaczy niewolników w XIX w Alabamie, było tolerowane, bo bitymi i „nie szanowanymi” byli zatrudnieni w PGR niemieccy „podludzie”.

Wywalony za pijaństwo Mikuła, dzięki wsparciu kolegów został pracownikiem Powiatowej Rady Narodowej w Gryficach. Gdy organizowano „demokratyczne” wybory do rad gromadzkich, mimo protestu i bojkotu miejscowych, „wybrano” go na przewodniczącego GRN w Drzeninie. Pierwsze kroki jako notabl skierował, po pijanemu, do kierownictwa PGR żądając wydania książki meldunkowej. Gdy obecny tam kierownik odmówił, wezwał MO z Gryfina i razem z mundurowymi odstawił aresztowanego kierownika do komendy powiatowej. Na wieść o tym pracownicy wsiedli na furmanki oraz do służbowego samochodu ciężarowego i ruszyli odbić „swojego szefa”. Cudem, z pomocą słownej perswazji, agitatorzy z KP PZPR uciszyli tłum, obiecując sprawiedliwe załatwienie sprawy. Zamiast sprawiedliwości pracownicy PGR doczekali się następnego dnia wizyty funkcjonariuszy MO i UB, szukających inicjatorów buntu. Odpowiedzią był strajk. Sprawę zakończyła dopiero interwencja KW PZPR w Szczecinie, uznająca rację protestujących.[1]

Nie była to historia ani nadzwyczajna, ani niecodzienna.

Takich pijanych półanalfabetów wywyższonych awansem społecznym do grona lokalnej elity było więcej. Co tu kryć: Ziemie Odzyskane [2] były zbiornikiem zarówno ludzkich strumieni, jak i ścieków. Pamięć zbiorową zasiedliła opowieść o Kargulach i Pawlakach, repatriantach ze wschodu. Ale obok nich była masa wykolejonych wojną, żądnych awansu materialnego i społecznego, biedaków z Kieleckiego i Mazowsza. Chronili się tu ci poszukiwani przez władzę ludową „za antykomunizm”, i ci, którzy nadto gorliwie ów komunizm krzewili. Dążenie by z tej różnorodności tworzyć jednolitą bryłę masy ludowej owocować musiało kopiowaniem faszyzmu. Cóż zrobić – PRL w praktyce stawał się państwem faszystowskim, z jedną drobną różnicą: w faszyzmie pociągi jeździły punktualnie.

„W prasie pojawiły się głosy, że na ziemiach odzyskanych znajduje się spory odsetek rodzin, które będąc niewątpliwie polskiego pochodzenia uległy w ciągu stuleci germanizacji i które pragnęłyby dzisiaj powrócić na łono narodu polskiego. Wyrażano przy tym opinię, że nie należy stawiać przeszkód temu powrotowi i przyznać polskie prawa obywatelskie wszystkim, którzy powołując się na swe polskie pochodzenie złożą deklarację wierności dla narodu polskiego. (...) Traktując sprawę zgermanizowanych Polaków najzupełniej pozytywnie, uważam jednak, że należy wobec tej grupy ludności zachować daleko idącą ostrożność. Błędem było by – moim zdaniem – przyznawać jej od razu prawa narodu polskiego, tak jak tego chcą niektórzy. Przy ocenie omawianej kwestii nie należy zapominać o tym, że Polacy, którzy ulegli w ostatnich generacjach wynarodowieniu, mieli duże korzyści ze zmiany swej narodowości. (...) Należało by wyjść z założenia, że osoby te zasłużyły sobie na to, by były wysiedlone z granic Państwa Polskiego – tak jak wszyscy Niemcy. Jeżeli się tego z nimi na razie nie uczyni, to powinno to być uważane za łaskę okazaną im przez rząd polski, łaskę, którą mogą uzyskać tylko wówczas, jeżeli się będą o nią ubiegać składając odpowiednią prośbę. Spełnienie tej prośby nie mogłoby bynajmniej oznaczać, że omawiane osoby zostałyby uwolnione od wszelkich restrykcji,

które powinny je spotkać jako dotychczasowych członków narodu niemieckiego, i że zostałyby pod względem praw obywatelskich od razu zrównane z osobami narodowości polskiej. Pozostawienie ich w kraju mogłoby nastąpić jedynie pod określonymi warunkami. Najważniejszym z warunków byłby ten, by tak jak inni Niemcy utracili one posiadaną własność nieruchomą. Konieczność tego warunku została już wykazana. W interesie naszym leżało by przede wszystkim, aby zatrzymać u siebie robotników rolnych i przemysłowych. (...) „Niemcy pochodzenia polskiego” nie posiadaliby polskiego prawa obywatelskiego aż do chwili przyznania im tego prawa. Z tego wynikałby dla nich szereg dalszych ograniczeń prawnych w okresie przejściowym. Byliby oni pozbawieni praw wyborczych do ciał ustawodawczych oraz do ciał samorządowych a także prawa piastowania urzędów publicznych; rzeczą do rozważenia było by, w jakiej mierze mogliby oni być pracownikami kontraktowymi takich instytucji, jak koleje państwowe, poczta itp. (...) Szybkiej asymilacji zgermanizowanych Polaków można by jedynie wówczas oczekiwać, gdyby zostali oni rozproszeni po ziemiach polskich i zmuszeni do zamieszkania wśród ludności o wyraźnym polskim obliczu narodowym. Zatrudnieni w większych gospodarstwach włościańskich, w rzemiośle i przemyśle u pracodawców polskich, nauczyliby się szybko języka polskiego i zostaliby wchłonięci przez społeczność polską”.[3]

Współodpowiedzialność Niemców za zbrodnie hitlerowskie była oczywista, trudno moralnie potępiać program odwetu. Polityka odwetu nie ma swoich naturalnych granic, przyjmowana zasada odpowiedzialności zbiorowej ma pokoleniową rozciągłość. Skoro w imię sprawiedliwości socjalistycznej płacić za grzechy dziadów i ojców mieli potomkowie klas wyzyskiwaczy; to nie wypada wręcz podobnej zasady nie stosować wobec potomków „narodu zbrodniarzy”. Od zarania PRL w sposób twórczy połączył socjalistyczne wykluczenie klasowe i faszystowskie wykluczenie narodowe. Rzecz, nawet w teorii dialektyki marksistowskiej, nie prosta, a co dopiero gdy przyszło ją ćwiczyć na żywym organizmie.

Mieliśmy zatem na Ziemiach Odzyskanych dwie grupy „niemieckich podludzi”. Pierwsza to ta, która czuła się Niemcami i chciała być Niemcami; w imię tego gotowa była porzucić swoją „małą Ojczyznę”, tracąc dorobek swój i swoich przodków. Drugą grupę określano jako „ludność rodzima”, „autochtoniczna”, w imię swego związku z „małą Ojczyzną” chciała pozostać na terenach przyznanych Polsce, deklarując wolę zostanie lojalnymi obywatelami – Polakami. Wybór nie zależał od woli „podludzi”. To władza „panów” decydowała kto jest Niemcem i będzie wysiedlony, a kto ma szansę starać się by być uznany za Polaka i uzyskać prawo pozostania na swojej ojcowiznie.

Uznani za Niemców mieli być wysiedleni, jednak gorliwość administracji zderzyła się tu zarówno z biernym oporem, jak i racjami ekonomicznymi. W 1954 r. na terenie woj. wrocławskiego mieszkało jeszcze 39110 Niemców, w tym 17801 mężczyzn i 21309 kobiet. Największymi skupiska ludności niemieckiej były: Wałbrzych 18650 osób, Kłodzko 5350, Legnica 2634, Świdnica 2000, ponad 1000 mieszkało w okolicach Złotoryi i Jawora oraz we Wrocławiu. Z tej liczby blisko 40 tys. osób, 15 tys. zatrudnionych było w górnictwie i przemyśle, 4500 w rolnictwie, śladowe zatrudnienie było w handlu (300 osób) i rzemiośle (400 osób). Ok 4000 Niemców to młodociani, uczniowie szkół, ponad 1500 liczyła grupa osób starszych lub niezdolnych do pracy inwalidów.[4] Proces wysiedleń z wrocławskiego zakończył się w 1948 r., powyższe liczby ilustrują związane z tym problemy. Przyjąć można, że ok 10% (zwykle osób starszych i kalekich) nie chciało wyjeżdżać nie wierząc już w żadną przyszłość, chcąc po prostu „umrzeć u siebie”. Jednak zdecydowaną większość zatrzymała polska administracja. Bez pracy 4 500 Niemców nie sposób było zagospodarować dolnośląskich PGR-ów, 35% górników w wałbrzyskim zagłębiu było Niemcami. Nazwijmy rzecz po imieniu – zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych wymagało wykorzystania pracy niewolniczej niemieckich „podludzi”.

Ten sam aspekt widoczny był w traktowaniu drugiej grupy

„podludzi”: tzw „ludności rodzimej”. Według szacunków partyjnych ludności „rodzimej” było ponad 1 mln, w tym w woj. opolskim 560 tys., katowickim 470 tys., olsztyńskim 100 tys., gdańskim 60 tys., zielonogórskim 8 tys., białostockim 3 tys. W teorii były to osoby, które złożyły deklaracje o woli przystąpienia do „narodu polskiego”. W latach 50-tych, gdy zrodziła się taka możliwość część autochtonów wystąpiła z wnioskami o prawo wyjazdu do Niemiec, rezygnując tym samym z „przynależności do narodu polskiego”. Z woj. wrocławskiego mogło do 1955 r wyjechać jedynie ok. 500 Niemców i to wyłącznie do NRD. Z innych województw od 1952 wyjechało „ludności rodzimej” 65 tys. w tym 75% do RFN. Największy exodus trwał w latach 1956-57; z katowickiego wyjechało 20063 osób, z olsztyńskiego 13850 osób, opolskiego 12667, gdańskiego 5037. Powróciło w tym czasie z NRF ok 200 osób. Wniosków wyjazdowych w 1957 złożono jeszcze 35 tys., dotyczyły 100 tys osób; w tym w woj. katowickim 17 tys. (30 tys. osób), olsztyńskim 12 tys. (50 tys. osób), opolskim 6 tys. (20 tys. osób), gdańskim 2 tys. (8 tys. osób), koszalińskim 200 (1000 osób), białostockim 30 (100 osób), zielonogórskim 50 (200 osób). Do tego dodać można ponad 30 tys. osób z województwa wrocławskiego i ok. 20 tys. mieszkających w woj, szczecińskim. Notatka sporządzona na potrzeby BP KC PZPR przestrzegała, że pozytywne rozpatrzenie może zwiększyć liczbę. W katowickim emigrowała głównie ludność z miast: inteligencja, rzemieślnicy, robotnicy, w tym 500 górników. Ludność wiejska, na Górnym Śląsku i Opolskim – zdaniem informatorów partyjnych – inwestowała w gospodarstwa, pragnęła stabilizacji. Odwrotnie było w olsztyńskim, gdzie chciała wyjechać ludność wiejska. Wg notatki partyjnej wielu zamierzających wyjechać to: starcy, sieroty, wdowy, osoby chore, inwalidzi, jednostki znane z agitacji i karane; a więc „materiał ludzki”, którego należy się pozbyć.[5]

Ubytku nie równoważył napływ z tzw „drugiej fali repatriacji” (powrót z ZSRR ok. 12 tys. osób). Falę odpływu z Górnego Śląska powstrzymano metodami administracyjnymi; zgodę

uzyskiwali starsi i kalecy, zatrzymywano „siłę roboczą”. Konieczna była także zmiana polityki. Panująca po październiku 1956 r. odwilż pozwoliła na ujawnienie skali niegodziwości stalinizmu, kraj huczał protestami, z którymi rządzący musieli się liczyć. Faszystowska praktyka stała w wyraźnej sprzeczności z deklarowanym komunistycznym „internacjonalizmem”. Bankrutowała gospodarka oparta na wyzysku „pracy niewolniczej”. Uchylenie „okna na świat” pozwalało konfrontować życie w realsocjalizmie z praktyką kapitalizmu; trudno było bronić racji, że komunizm sprzyja robotnikom. W socjalistycznych kopalniach Górnego Śląska w miesiącu było 30-31 dni roboczych, dniówka trwała 10-12 godzin, stosowano tzw. „rolki”, praca przez dwie zmiany w ciągu jednej doby; zatrudniano kilkanaście tysięcy osób młodoćianych i kobiet przy najcięższych pracach dołowych. Mimo takiego wyzysku problemem strategicznym był brak węgla. Podobny wyzysk i zawyżone normy były w przemyśle ciężkim i na tzw. „wielkich budowach socjalizmu”. Jeszcze bardziej nieefektywny okazywał się wyzysk w PGR, pomimo wymuszania pracy w niedziele i święta. Wbrew ideologii wyżywić Polskę mogły jedynie indywidualne gospodarstwa rolnicze; odwrót od przymusowego uspołdzielniania i pegeeryzacji był rozpaczliwą próbą ratowania bytu.

I tu pojawiały się problemy zrodzone z istnienia grup „podludzi”. Zgodnie z polityką „odwetu” ludność rodzima, podobnie jak niemiecka, została pozbawiona praw własności do swych domów i gospodarstw. Tylko na Górnym Śląsku zabrano autochtonom 2 500 domów. Identycznie praw własności pozbawiono wyrzucanych z lubelszczyzny i rzeszowskiego w ramach akcji „Wisła”. Z wiadomych względów własności nie posiadali przybyli ze wschodu repatrianci. Doktrynalne komunistyczne lekceważenie praw własności doprowadziło do chaosu. Przekazywano osadnikom – repatriantom do użytkowania własność niemiecka (w tym także pozostających w Polsce autochtonów) nie nadając im praw własności. Bywało, że w jednym domu mieszkało i na jednym gospodarstwie pracowały dwie rodziny – autochtonów i

repatriantów – obie uważając, że są u siebie.

Podnoszony publicznie w 1956 r. postulat Ślązaków, by przywrócono im prawo do własnych domów, był nie tylko krzykiem o sprawiedliwość, ale i wołaniem o tworzenie trwałego fundamentu gospodarczego. Brak poszanowania własności prowadził także do sankcjonowania zwykłego rabunku. Po okresie rabunku „sowieckiego” (wywozu materiałów, surowców i urządzeń z Ziem Odzyskanych), przyszedł żywiołowy, polski szaber, zastąpiony szybko zorganizowanym, „państwowym” szabrem. Trwał on do połowy lat 1950. brano wszystko: od cegieł na odbudowę stolicy, przez tory kolejowe, kostkę kamienną z dróg, szyby z okien domów, po urządzenia „niemieckich” warsztatów rzemieślniczych. W 1952 r. dla wzmocnienia akcji ściągania „zakontraktowanej” żywności wysłano na Ziemie Zachodnie ok 20 tys. młodych aktywistów ZMP. W efekcie tylko na Mazurach w ponad połowie gospodarstw do 2 ha nie było ani jednej krowy, z braku narzędzi i maszyn musiano odłogować blisko 18 tys. ha ziemi.[6]

Względy doktrynalne – ideologia internacjonalizmu – a także – w przypadku Niemców – interwencje „zaprzyjaźnionego” państwa ludowego NRD, wspieranego przez ZSRR, prowadziły do tworzenia fasadowych form. W Szczecinie w strefie sowieckiej (port przeładunkowy) powstało niemieckie stowarzyszenie Antifa z sekcjami kulturalnymi i sportowymi; władze polskie pod sowieckim naciskiem zmuszone było je akceptować. Na Dolnym Śląsku funkcjonowało 54 szkoły podstawowe z językiem niemieckim, 1 liceum ogólnokształcące w Wałbrzychu, 1 liceum pedagogiczne w Świdnicy, 2 zasadnicze szkoły górnicze w Wałbrzychu i Boguszowie, 1 liceum dla pracujących w Wrocławiu; uczyło się w tych szkołach 4000 Niemców, podręczniki sprowadzane były z NRD. Istniało także 90 punktów bibliotecznych, wydawano tygodnik „Arbeitstimme” (od 1951 r.), oraz broszury propagandowe o NRD, działało 11 zespołów artystycznych.[7] Podobny model, nadzorowanej pod względem ideologicznym autonomii kulturalnej, realizowano także na

Górnym Śląsku i w Opolskim, pod warunkiem, że nie nazywano prezentowanej kultury niemiecką. Ten internacjonalizm powielano na wszystkie grupy narodowościowe w PRL. Monopol na żydowskość miało kontrolowane ideologicznie Żydowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, identyczne towarzystwo utworzono dla Białorusinów, Czechosłowaków, a także, w 1957 r., dla Ukraińców.

Była to jednak tylko doktrynalna fasada przesłaniająca realną faszystowską treść. Z powodów doktrynalnych lepiej była traktowana mniejszość żydowska; inne narodowości – nie tylko niemiecką – skazywano na wykluczenie; utrudniając dostęp do wyższej edukacji, a tym samym awans społeczny i zawodowy. Rządzić miała polska, robotniczo-chłopska, elita.

W takim systemie awans opisanego na wstępie osobnika spod Gryfic, tego co pił, bił i trupom niemieckim złote zęby wrywał, był czymś naturalnym. Dziwne są jedynie utrwalone fantazje jakoby realny socjalizm był czymś lepszym od realnego faszyzmu. Tak bywa, gdy prawda czasu ustępuje przed prawdą ekranu.

Autorstwo: Jarosław Kapsa

Źródło: [FundacjaWiP.wordpress.com](http://FundacjaWiP.wordpress.com)

## Przypisy

[1] Biuro sekretariatu KC PZPR. Notatka o sytuacji w stoczni szczecińskiej. 28 lipca 1956 r. Zbiór publikowany na stronie Biblioteki Narodowej, <http://www.polona.com>.

[2] Świadomie używam tu zakłamaney, propagandowej nazwy: Ziemie Odzyskane, jako odniesienia geograficznego.

[3] Rajmund Buławski. „Problem Niemców polskiego pochodzenia” Kraków, 1945.

[4] Biuro Sekretariatu KC PZPR. Informacja o sytuacji ludności niemieckiej na terenie Dolnego Śląska. Wrocław, wrzesień 1954.



[5] Biuro Sekretariatu KC PZPR. Notatka w sprawie wyjazdów części ludności rodzimej z Ziemi zachodnich do obu państw niemieckich.

[6] Biuro Sekretariatu KC PZPR. Notatka o Warmiakach i Mazurach w woj. olsztyńskim Olsztyn, 19.06.1954

[7] Biuro Sekretariatu KC PZPR. Informacja o sytuacji ludności niemieckiej na terenie Dolnego Śląska. Wrocław, wrzesień 1954